Telegram od Bernsteina

Jak doszło do niezwykłego spotkania polskiego pianisty Marka Drewnowskiego z legendarnym amerykańskim dyrygentem Leonardem Bernsteinem? Jak wspomina współpracę z mistrzem i wykonanie I Koncertu fortepianowego Brahmsa pod jego batutą w Tanglewood? O tym wyjątkowym doświadczeniu artystycznym, które stało się ważnym momentem w jego międzynarodowej karierze, **Marek Drewnowski opowiada w rozmowie z Agatą Kwiecińską**.

Wywiad publikujemy z okazji koncertu „In Tribute to Leonard Bernstein", który odbędzie się 15 listopada 2026 roku w KMFA Draylen Mason Music Studio w Austin, na zakończenie 21. Austin Polish Film Festival.

Marek Drewnowski, fot. arch. pianisty

Agata Kwiecińska: Historia pańskiego spotkania z Leonardem Bernsteinem jest nieprawdopodobna. Leonard Bernstein przez przypadek słyszy pańską interpretację sonat Scarlattiego w radiu i….

Marek Drewnowski: To długa historia. Stan wojenny zastał mnie we Włoszech. Moja żona pracowała w Orkiestrze Św. Cecylii w Rzymie. Pięć dni przed stanem wojennym, czyli w ostatnim momencie, wylecieliśmy z Polski wraz z synem Michałem. Wówczas miałem już na swoim koncie kilka płyt, w tym album z sonatami Scarlattiego wydany przez Polskie Nagrania „Muza” w 1974 roku, do nagrania którego namówił mnie Piotr Wierzbicki. Mimo tego w Rzymie zaczynałem od zera. Początek pobytu we Włoszech był bardzo trudny, zwłaszcza, że

stan wojenny uniemożliwiał nam łączność z krajem.
Nie miałem żadnych kontaktów, znajomości i oczywiście pracy. Dopiero po kilku latach zacząłem grywać publicznie. Znalazłem włoskich przyjaciół, rodzinę Fernanda Martinelli, którzy bardzo mi pomogli. Znaleźli kilku uczniów, później organizowali też kursy mistrzowskie. Grałem wtedy Brahmsa, Chopina mniej (bo w kraju opery był wówczas mniej popularny) i oczywiście Scarlattiego. Swoją aktywność we Włoszech rozwijałem stopniowo i powoli Italia stawała się moją drugą ojczyzną. Nie mieliśmy wtedy odwagi i powodu by wracać do Polski.

Minęło kilka lat, w Rzymie urodziła się moja córka Marta, koncertów przybywało, kilkakrotnie zmienialiśmy mieszkania. Wreszcie ksiądz Boniecki pomógł nam w znalezieniu mieszkania w centrum, w dzielnicy San Giovanni di Laterano. Rzym jest wspaniałym, a jednocześnie trudnym i dynamicznym miastem, z problemami „trafico" czyli wielkim ruchem ulicznym i dużym hałasem. Nowe mieszkanie było sympatyczne, w centrum i blisko Koloseum, do którego dochodziło się spacerkiem.

Pewnego dnia listonosz wręczył mi telegram, zdumiony, niepewny i zaciekawiony otwieram i widzę, wiadomość z PAGARTU o następującej treści: *Proszę się z nami skontaktować, bo Leonard Bernstein chciałby nawiązać z panem kontakt.*
Zakręciło mi się w głowie, niedowierzanie, radość i wątpliwości. Myślałem, że to żart. Zastanawiałem się, kto mi wykręcił taki

numer. Ochłonąłem i zacząłem prowadzić śledztwo, dzwonić do przyjaciół i znajomych. Szukałem winnych, ale nikt się nie przyznawał. Więc wreszcie skontaktowałem się z PAGARTEM i okazało się, że to prawda.

Co pan wtedy wiedział o Bernsteinie?

Wiedziałem, że to jeden z największych dyrygentów świata. Chodziłem na jego koncerty we Włoszech. Pamiętam między innymi koncert w Watykanie z Orkiestrą św. Cecylii.

Czego się pan dowiedział od PAGARTU?

Podali mi telefon do sekretarza Bernsteina, Harrego Krauta, więc zadzwoniłem i powiedziałem kim jestem. Kraut wyraźnie się ucieszył i powiedział, ze Leonard Bernstein jest zdeterminowany, aby mnie poznać i ustaliliśmy datę spotkania. Powiedział, że Bernstein będzie niebawem w Mediolanie i mam się wtedy pojawić w La Scali. Z wrażenia nie spałem kilka nocy.

A skąd się wziął ten pomysł? Jak Bernstein wpadł na pański trop?

Wtedy jeszcze nic nie wiedziałem. Po prostu kupiłem bilet do Mediolanu.W La Scali wystawiano wtedy krótką operę *Trouble in Tahiti* Bernsteina. On nawet nie dyrygował. Po prostu przyjechał

na to wykonanie. Umówiłem się z Harrym Krautem przed La Scalą. Miałem małą walizeczkę i koszulkę z krótkim rękawem, bo było bardzo ciepło. Stałem przed La Scalą jakiś czas, ale nikt po mnie nie przychodził, więc podszedłem do mężczyzny stojącego przed teatrem i zapytałem o wejście dla artystów. Okazało się, że to właśnie Harry Kraut, który na mnie czekał. Zobaczył mnie i krzyknął zaskoczony: Przecież miał pan być profesorem z siwą brodą!

Był naprawdę zdumiony, i kiedy ochłonął, zaprowadził mnie do teatru. Bernstein stał w przejściu na scenę, za moment miała się rozpocząć próba jego opery, ale zrobił przerwę. Również był zaskoczony, zaczął opowiadać wszystkim o moim Scarlattim, zrobił się szum, a Bernstein wziął mnie za ramię i wepchnął do „camerino", gdzie stało pianino i natychmiast kazał mi grać. Obejrzałem się za siebie i przeraziłem. Stał za mną tłum zaciekawionych ludzi. Zagrałem kilka sonat Scarlattiego, z wirtuozowską G-dur na końcu. Na tej przypadkowej publiczności musiałem zrobić wrażenie, bo odezwały się oklaski i okrzyki uznania. A sam Bernstein wprawił mnie w osłupienie, gdyż ujął moją rękę i pocałował. Myślałem, że zemdleję z wrażenia.

Później, pamietam to doskonale, grałem spektakl z *Obrazkami z wystawy* Musorgskiego z obrazami Kandinskiego w Berlinie. Pamiętam, że to była zima, chyba w okolicy Świąt Bożego Narodzenia. Śnieg na ulicach. I tam właśnie odebrałem telefon

od Krauta z informacją, że mistrz chciałby ze mną zagrać któryś z koncertów Brahmsa do wyboru. Z Orkiestrą Bostońską i Bernsteinem!!! Zaproponowałem I Koncert fortepianowy d-moll, ale uświadomiłem sobie, że nawet nie pamiętam jak on się zaczyna. Ale gdy Harry Kraut mnie pytał, czy grałem wcześniej ten koncert odpowiedziałem, że tak. I w sumie skłamałem, bo grałem go tylko z orkiestrą szkolną.

Miał pan jakieś pół roku, to w sumie sporo czasu, nawet by opanować całkiem nieznany utwór.

Wróciłem do Rzymu, szybko poszedłem do księgarni muzycznej po nuty, w ogromnym stresie. Dosyć śmieszna historia. A jeszcze zanim pojechałem do Bostonu, dyrektor La Scali zaprosił mnie na recital.

Czyli nieformalne przesłuchanie przed Bernsteinem dało wymierne efekty.

Tak. Także innego rodzaju. Korzystając ze znajomosci z dyrektorem, poprosiłem, żeby mnie zaprosił na recital Horowitza. I mogłem go usłyszeć. Chciałem też zdobyć autograf dla redaktora Jana Webera, mojego przyjaciela. W tym samym „camerino", w którym spotkałem się z Bernsteinem znalazłem duże fotografie Horwitza. Poprosiłem o autograf, ale nie dopuszczono mnie do niego. Jego sekretarz wziął fotografię i

umówił się ze mną innego dnia w hotelu Principe de Savoia. Ale Horowitz odmówił podpisania, mówiąc, że na fotografiach nie jest „abastanza bello” (wystarczająco piękny).

A udało się zagrać ten I Koncert fortepianowy Brahmsa przed wyjazdem do Stanów?

Nie, skąd. Nie miałem na to szans. We Włoszech wciąż miałem status debiutanta.

Jak wyglądała podróż do Tanglewood?

To była wyprawa! Nie znałem języka, nigdy wcześniej tam nie bylem, więc nie miałem pojęcia jak to wszystko zorganizować.

Marek Drewnowski z Leonardem Bernsteinem, fot. arch. pianisty

A z Bernsteinem w jakim języku się pan porozumiewał, skoro nie po angielsku?

Po włosku. Ale wracając do wyjazdu, korzystając z rożnych znajomosci udało mi się załatwić na kilka dni nocleg u jakiegoś reżysera teatralnego w Nowym Jorku. Wcześniej leciałem z kilkoma przesiadkami, m.in. przez Belgrad. W końcu z Nowego Jorku autobusem pojechałem do Tanglewood. Wysiadłem z autobusu, ale nie było ani taksówki ani żadnego środka transportu. W końcu za 5 dolarów dowiózł mnie jakiś… kowboj.

Na miejscu zostałem już zakwaterowany w hotelu, ale i tak nie

mogłem spać. Odnalazł mnie Kraut i poinformował, kiedy odbędzie się próba. Przydzielił mi też pilota, który mówił po włosku. Na próbę poszedłem ze ściśniętym gardłem. Miałem grać Brahmsa z drugim fortepianem. W sali prób zaczęła się pojawiać wyselekcjonowana publiczność, kilku zaciekawionych muzyków orkiestrowych, potem z niezwykle poważną miną wkroczyła jakaś pani, później asystent z ręczniczkiem, następnie Kraut z batutą – to był cały rytuał! W końcu zjawił się sam Bernstein i zaczęliśmy grać. Skończył się mój stres. Próba była bardzo przyjemna, bo maestro dawał ciekawe rady.

Jakiego rodzaju były to uwagi?

Dotyczyły emocji.

Ile było prób?

Jedna z fortepianem, a druga z orkiestrą. To wszystko.

Pamiętam moment, kiedy już wieźli mnie na koncert, ta hala koncertowa w Tanglewood jest ogromna. Do dziś pamiętam to wrażenie, kiedy zbliżaliśmy się do tego miejsca i nagle usłyszałem szum, jakby to był stadion. Było 12 tysięcy ludzi i transmisja na żywo.

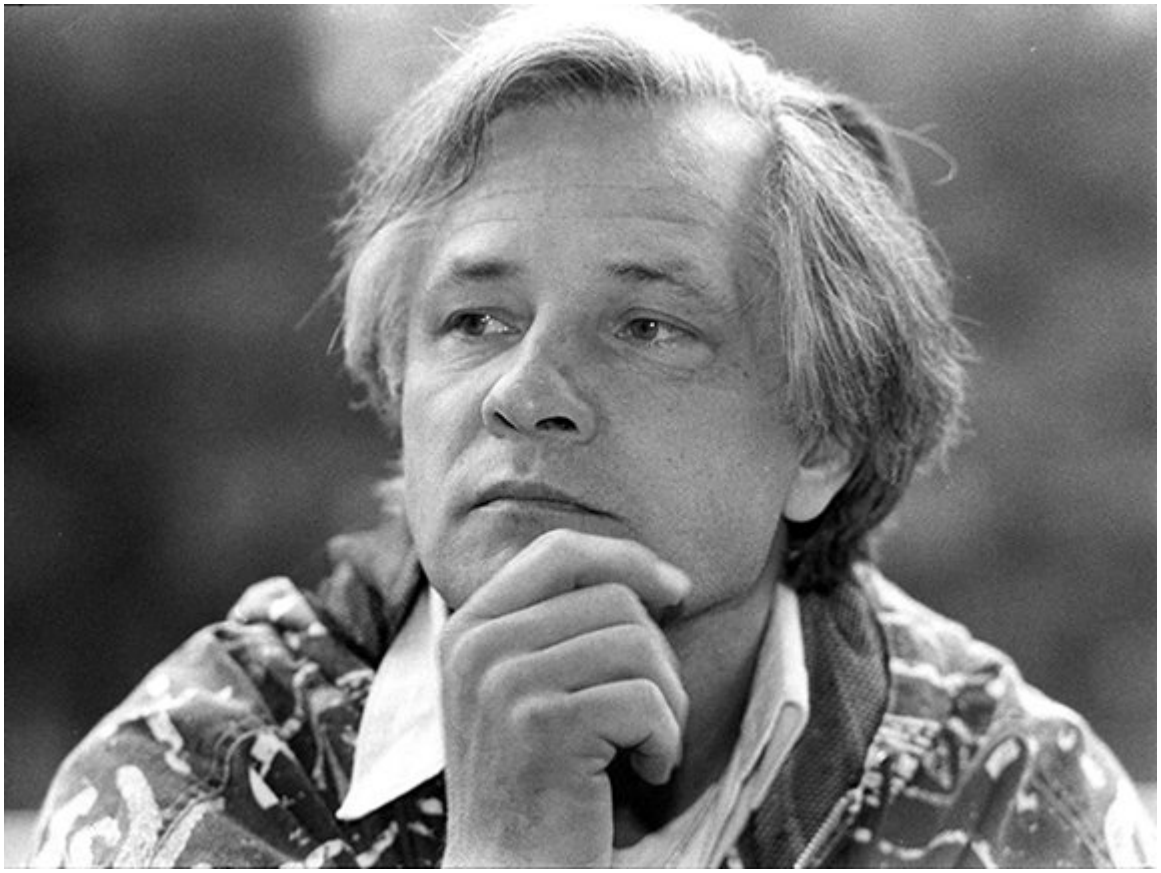

Marek Drewnowski, fot. arch. pianisty

Jak się panu grało? Pamięta pan coś z przebiegu tego koncertu?

Na początku trochę się jeszcze rozgrywałem, było kilka fałszywych nut, ale im dalej, tym było lepiej, a finał zdecydowanie najlepszy. Muszę przyznać, że tego, co było po koncercie zupełnie nie pamiętam. Byłem jak zbity pies. Ale Bernstein był zadowolony. Mówił, że było dobrze.

Potem po przesłuchaniu taśmy i teraz z perspektywy tych wszystkich lat, które minęły, widzę, że słychać w tym nagraniu pewną różnicę pokoleniową. Mnie rozpierała energia, młodość, a on to wszystko powściągał, hamował mnie. Moje tempa były

zupełnie inne, ale to ja musiałem się dopasować. Był to pewien konflikt, który zrozumiałem po wielu latach, kiedy sam zacząłem dyrygować.

Potem już nie grał pan więcej w Tanglewood?

Nie, ale Bernstein zaprosił mnie na koncert z okazji rocznicy wybuchu II wojny światowej w Warszawie, w Teatrze Wielkim w 1989 roku. Grałem *Poloneza As-dur*. Żałuję, że tak niedługo po tym spotkaniu, Bernstein zmarł. Straciłem swojego mistrza. Nauczył mnie najwiecej, mimo że nie dawał mi lekcji.

Czego? W sumie nie spotkali się panowie wiele razy.

Zapraszał mnie na swoje europejskie koncerty, widywaliśmy się. Zawsze potem były rożne spotkania towarzyskie. A on w centrum zainteresowania wszystkich. Nauczyłem się od niego współpracy z orkiestra, budowania konstrukcji utworu. Podczas próby w Tanglewood dyrygował też I Symfonią Brahmsa. Orkiestra dosłownie fruwała i były w tym niesamowite emocje, a jednocześnie intelekt. Spotkanie z nim było też dla mnie nauką psychologii, jak wytrzymać presję, jak bronić swojej wizji.

Jak to się stało, że trafił na pana ślad?

Bernstein obudził się rano, włączył radio i usłyszał sonaty

Scarlattiego. To były moje sonaty z czarnej płyty Polskich Nagrań. Nagranie go zaintrygowało, a ciekawość i zainteresowanie wzmógł fakt, że nie podali nazwiska wykonawcy. Zadzwonił do radia, ale w redakcji powiedzieli mu, że nie nadawali sonat Scarlattiego, nie było ich w programie. Bernstein się zdenerwował, bo przecież wyraźnie słyszał. Uparł się, że musi poznać nazwisko wykonawcy. Po kilku dniach redakcja radia nowojorskiego znalazła odpowiedź. Okazało się, że po jakiejś transmisji była dziura i sięgnęli po moją płytę. Może leżała na wierzchu.

A skąd ona się wzięła w Nowym Jorku w radiu?

Nie mam pojęcia. Tego nie udało się ustalić, to nieprawdopodobne zrządzenie losu. Nikt nie umiał wymówić mojego nazwiska, nikt nie znał Drewnowskiego. Bernstein zlecił swojemu asystentowi odszukanie muzyka, który grał Scarlattiego w taki sposób, że go zaintrygował.

To pokazuje jak bardzo zależało mu na muzyce. Jak wnikliwie jej słuchał. Mógł przecież występować z największymi solistami, a postanowił odszukać kogoś, kto go zachwycił swoją interpretacją. Wspaniałe.

To był człowiek, który na próbach był nadzwyczajny. Zdarzało mu się powiedzieć do orkiestry: ja was wszystkich kocham.

Widziałem też kiedyś, jak ktoś przyszedł z małym dzieckiem na próbę, on wziął malucha na ręce, przytulił, rozbawił i położył się z nim na podłodze, na środku estrady.

Niesamowicie dużo zrobił dla młodych muzyków, wypromował wielu znakomitych artystów. To był człowiek, który naprawdę żył muzyką, pożądał jej. Skoro o 10.00 rano słuchał radia tak uważnie, to znaczy, że w każdej chwili potrzebował muzyki. Jak narkoman. To był człowiek, który kochał. Kochał świat, muzykę i ludzi. Kochał bezinteresownie. Brakuje mi go…

Wywiad Agaty Kwiecińskiej pt. „Amerykański sen” ukazał się w Ruchu Muzycznym 11/2018 r.

Przedruk za zgodą redakcji i autorki.